Rok III. Warszawa-Kraków, dnia 24. kwietnia 1911. № 42.

PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi 2 razy na miesiąc w odstępach czasu 15-dniowych pod kierownictwem **Józefa Rozprzy-Krobickiego.**

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedyńczego numeru: 20 kop.
OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:



IDALIA BADOWSKA.

POETA.

(Dokończenie).

(Ks. Antoni Szandlerowski).

Dusza ludzka i jej granice, naogół osiągnięty dotychczas zakres ludzkich doświadczeń wnętrznych, wyżyny, głębie i dale tych doświadczeń, cała dotychczasowa historya duszy i jej niewypite jeszcze możliwości — oto dla urodzonego miłośnika wielkiej mowy i wielkich czynów najrozleglejsze pole. Ale gdy się taki zuchwały miłośnik zabierze do dokonania czegoś, rychło się przekona, że ma za wiele do czynienia, bo wszystko musi zrobić sam...

Otoczenie ma zbyt trwożne serca, a ognie ich proroków, nawet w najświętszych zamiarach krzesane, mżą tylko trupim blaskiem, przegniłe piersi ich nie zdolne już wydobyć z siebie nic prócz błota.

Sam tylko, sam.

Tak, wszystkie wasze światy ja podepcę
A nim podeptać – ukorzę, zohydzę!
Wgryzę się w serce.. krew strutą wychlepcę...
Wyżrę nią ducha wam, bo nienawidzę
Waszego świata i samego... boga!
Co? nie znam drogi? Oto—moja droga!

Ale krzyże—cierpienia nie czas jeszcze odebrać ludzkości, mniema Ziemic, bo chociaż światy kruszy, chociaż krew chłepce, chociaż jak potwór wpełza oślizgłą piersią w przepastną głąb ducha to jednak, z pragnień odwiecznych zrodzone, ma moc, która nauczy nie obniżać lotu i przez Golgotę w słońce poprowadzi I oświetlając życie jaskrawym płomieniem swych rozpalonych serc, zmusi ślepych nawet do przejrzenia. A trzeba, żeby ślepi przejrzeli wreszcie, trzeba żeby ludzie ze wstrętem i oburzeniem spostrzegli jak grubem, niesprawiedliwem i wstrętnem jest ich życie.

Szandlerowski staje przed nami jako mocarz swych pragnień. Cały świat w sercu jego, cały ból świata, całe cierpienie ludzkości w jego duszy. Błoto i brzydota, kłamstwo i okrucieństwo—oto jego wrogowie, wszystkie godziny swego życia oddaje hojnie na walkę i życie jego staje się pełne radości wybujałej, pięknego gniewu, dumnego uporu.

Twórczej, o życie wołającej myśli szuka wszędzie — w szczelinach kamieni nawet umie ją wyczytać. jak i w szkarłatnej niegdyś róży, dziś rdzawej plamami.

Człowiekowi jednak tak często brak słów, i dlatego dużo wielkich i ważnych dla życia myśli ginie bez śladu, bo nie znalazło się dla nich w swoim czasie odpowiedniej, potrzebnej formy. Oto już myśl zrodzona, oto szczere pragnienie wcielić ją w słowa - w twarde, jasne silne słowa—ale niema słów...

Więc baczność dla myśli! Wspólnemi siłami pomóżmy jej się przejawić. A wtedy może krzyż-cierpienie usunie się samo, jako rzecz najmniej oryginalna, wartość pozbawiona wartości. I życie stanie się pełniejsze i ciekawsze w walce z tem, co przeszkadza żyć.

A walka winna być bezwzględną, czerwie deptane, zrywane i precz odrzucane żółknące listowie... to co w jesień pomyka—zmrożone lodowym tchem, a wszystko, co nie złote, jeno rdzawe, przegryzione, i obrożą zduszone to, co już w obrożę wlazło. Żyć ma prawo ten tylko kto idzie z tęsknotą, kto nie przestaje wołać: „Zorze, zorze!“

Więc jest jeszcze cały dział liryk erotycznych—tych właśnie płomieni wcałowanych w ramiona, tych piersi kutych władnych, w które się wkrada, jak cień, miłosne pragnienie i tajń ich — niezgadnioną dotąd — zgadnie.

Daj włosy... mżą zcicha.. pieszczotne,
Jak wrzosy... jak kwiecie paprotne,
Daj włosy... na leże namiotne,
Jak wrzosy... ich lśnienia pozłotne
Daj ramię... wcałuję płomienie.
Nie splamię.. skrysztalę w złocienie.
Spójrz na mię... jak tęcza się mienię.
Połamię! twe strażne pierścienie..

W upalnych akordach, mówiących o spopielałych od pocałunków wargach i piersi. o obiodrzach mrzących mdłym opadem, o wonnym dyademie włosów i źrenicznych wplotach ócz, o różanych nieściągłych obłokach ciała, o pożarnej głębi krwi jest tyle subtelnej finezyi, tyle siły i tyle królewskiej słonecznej pożogi.

Czuje się, że w miłości Ziemic jest rzeczywiście tym orłem, co burzę dopada, na skrzydła ukochaną swą bierze i z pieśnią tęczową płynie z nią w dal po wspólne szczęście, po myśl piorunową.

Prócz „Parokleta“ i „Sąd wam niosę“ pozostały jeszcze w rękopisach trzy dramaty: „Marya z Magdali“ i „Samson“ z czasów hebrajskich i „Tryumf sztuki“ z Grecyi

Gdziekolwiek się zresztą rzecz dzieje i cokolwiek będzie służyło podłożem zawsze Szandlerowski wydobędzie z niej swój zasadniczy ton—żyć, żeby się czuć potrzebnym życiu, żeby ani jedna chwila nie przeszła marnie, nie skostniała wśród lodowców egoizmu, czy bezczynności..

I wierny swoim zasadom umocnił w życiu pamięć o sobie ten dumny choć dotknięty zależnością od tajemnych zagadnień czasu duch.

Nie był cegiełką, co spokojnie bez ruchu leży w jakimś gmachu, aż się rozsypie, potem zaginie.—Miał swoje piękne uczuciem, burzliwe myślą i szczęśliwe twórczością—choć krótkie życiem godziny.

I stając teraz tam przed swoim Panem powiedzieć może, jak mówił już tu na ziemi.

Otom jest, Panie, otom jest...
Powracam z ziemi,
Przyjąłem krwawy życia chrzest —
Stoję z ranami memi.
Syn ziemi rany jawię Tobie
Nie przeto iżbym błagał łaski,
Iżby mię zślepły Twoje blaski,
Mnie złożonego w ciemnym grobie —
Dziś rany miotam przed Twój tron,
Bo to mój siew, bo to mój plon
Te rany me... ta moja krew!

Zapal się gniewem — zemstą spłoń
Na tronie siądź
I sądź
Ale miłościw bądź!
Nie straszna mi Twa dłoń.



JAN LORENTOWICZ

Liryka Maryi Konopnickiej.

(Ciąg dalszy).

Rola jej była inna. Ona niechce „nikogo prosić o hasło“, ona ma jasno wytkniętą drogę:

„Przez pola puste, przez czarne te pola,
Po nad któremi dzień wschodzi przyszłości,
Idę--i rzucam siew bratniej miłości
Dla tych, co słabi—i dla tych, co prości,
Dla tych, co twardą, ciężką mają dolę,
I duszę własną wylewam, jak czaszę,
Łez srebrnych pełną, by z nich jako z rosy,
Brały swą plenność jutrzejszych dni kłosy,
Dni, w których nędzarz—dziś nagi i bosy
Ukocha cele i nadzieje nasze“.

Pieśń o tej przyszłości, o tej promiennej zorzy jutrzejszej, nie schodzi jej z ust. Raz stanowi jej cichą nadzieję, to znów niezachwianą pewność, a niekiedy jedyną wprost racyę osobistego istnienia. Nie mówi, kto tę jutrznię zapali, raz dlatego, że jej tego mówić... nie wolno, to znów i więcej może, iż nie spodziewa się od pokrzywdzonych, aby sami zrzucili swe więzy. „W mrokach my jeszcze, lecz w górze już dnieje“—woła stanowczo i to jej dodaje siły, gdy wątpi razem z nędzarzami, z którymi płacze. Czasem gra radosną pobudkę, oznajmia już ducha wolności:

Słyszę, słyszę gdzieś w przestrzeni,
Tajnych haseł ruch,
Łzy otrzyjcie uciśnieni
Oto idzie duch!...

Ale bolesna rzeczywistość wzywa do porządku: nędza istnieć nie przestaje, nie przestaje oczu poetki mgłą łez przesłaniać. Męczą ją uroki wiosny, „póki głuchych skarg tysiące drży bez słowa“, póki „duchy znieważone w pętach jęczą“. Zawodzi donośną skargą tak, aby wszyscy słyszeć ją mogli, nie przestaje stukać do sumień ludzkich, budzi sytych i śpiących, wszystkim stawia pytania, aż duch jej „jak motyl drżący nad lampy płomieniem“, uderza w skrzydła i ulata „gdzie wiekuistość bezsennem spojrzeniem w ciemnościach czuwa nad nędzami świata“. Staje rozżalona, rozbolała przed Bogiem i modli się cudnie:

Na twej mi szacie daj kroplą być rosy!
Nie iżbym w sobie odbiła niebiosy,
Lecz abym drżąca przed stopy twojemi,
Łzą ubłagalną była dla tej ziemi.

A gdy nie otrzymuje odpowiedzi, budzi i Boga z odwiecznego uśpienia, „bo już się burza rozbłyska i zrywa, by wichrzyć światy“. Gdy Pan pyta: „czyje to tam niepokoje płoszą moich światów sny?“—poetka oznajmia wielkim okrzykiem bolu: „to my!“ — i ma zuchwałość sięgać po pioruny jego burzy, „gromów jego woła“.

Ale Bóg Konopnickiej jest najwyższym symbolem naszej niemocy wobec zagadkowego Ananke bytu, jest nazwą owej przeczuwalnej harmonii, dla której ze spokojnem okrucieństwem miażdżą się światy i istnienia, w której „jęki i boleści i zgrzyty łańcuchów“ tworzą hymn. „Jeżeliś cieniem—woła poetka — rozwiej się przedemną“! Próżne wołanie: „milczenie—bogów potęga“! Chciałaby wiedzieć, czem jest ta „olbrzymia masa“, czy „nieujęte i mgliste“ jej ciało „z tęsknot, z pożądań, z pragnień powstało“? Próżne pytania, a właściwie próżna modlitwa, bo „bluźnierstwo“ jest najwznioślejszą modlitwą. To serce poetki krzyczy, a w krzykach serca poety może mieć wartość tylko stopień siły, nie zaś różnica treści. Zawsze w niem wołać będzie potęga uczucia, a to, co dla umysłów prostackich nazywa się „bluźnierstwem“, jest u poety najsilniejszym echem jego jęku. Zresztą poetka wie, że gdyby ten Bóg

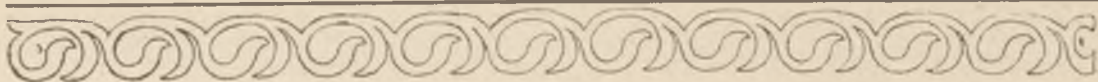
„na chwilę porzucił błękity
I ujrzał chaty te — i zgrzebne świty
I karki wrosłe w niedoli obroże.
I twarze blade, i serca złamane,
I w każdej ludzkiej piersi jakąś ranę
I w każdym oku jakąś łzę tajemną“ —

toby „zapłakał sam łzami krwawemi“. Bo on, ten mocarz, co „całej tej nędzy jest—panem“, ma wszystkie łzy policzone, ale... „nie otarte“. Uczucie poetki rośnie też do nieprawdopodobnych rozmiarów, w sercu jej rodzi się przepastna litość, nawet dla tego bezsilnego Boga, bo „nie o takich marzył on mogiłach, co rosną zwolna zimne i milczące“—w Polsce; bo on, ten Bóg słabych

„też ma noce
Bezsenne, w których na gwiazdach oparty
Swe piorunowe gubi kędyś moce,
I patrzy cichy na świat ten rozdarty —
I wie, gdzie wróbel bez gniazda świergoce,
I jakie księżyc odprawia tu warty
Nad mogiłami w rosach duch pokutny —
I patrzy na to wszystko—i jest smutny...“

Powstał z łez, krzywd i skarg, substancyę więc jego stanowić musi bezdenny, otchłanny, obejmujący wszechświst cały — smutek. Na łkania, jęki, szlochy i protesty,—odpowiada milczeniem, bo... bezsilny.

Miałożby jednak istnienie wydziedziczonych przetrwać w rozpaczy albo w cichej, kornej nadziei? Niekiedy poetka takie po swych pieśniach zostawia wrażenie. Lud cierpi, a ona z nim i nad nim płacze i odczuwa w tem jakby racyę swego poetyckiego bytu. Musset w „Nocy majowej“ opisuje pelikana, co wracał do gniazda bez karmi dla swoich piskląt. „Daremnie krążył nad oceanem i zapełniał przestrzeń rozdzierającym krzykiem; daremnie wzywał ratunku niebios i zaglą-



dał w głębie morza – była pusta. Za całą zdobycz przynosi własne serce. Ponury i milczący, rozpostarłszy się na skale, dzieli swe wnętrzności między dzioby zgłodniałych dzieci. Widok własnego łona, zbroczonego krwią, przejmuje go zgrozą, ale duszę napełnia niewysłowiona rozkosz i tkliwość". Konopnicka staje często wobec zgłodniałych na ciele i na duchu, z własnem sercem w dłoni, rwie je na kawały i odczuwa może także „niewysłowioną rozkosz i tkliwość". Całe szczęście, że to serce tak ogromne, tak ogromne!... Żyje w niem pewność, że z zatopionej we łzach teraźniejszości wydobyć się można, bo człowiek, którego płacze stworzyły Boga, umie tworzyć dzień jutrzejszy. A „przyszłość — to trud. Nie zejdzie ona z nieba przez żaden cud, lecz zdobyć ją potrzeba". Nie bolesna to już mara, ale konieczny skutek cierpień, gdy te urosły do gromów protestu. Nadchodzą te świty promienne, wolno, bo nie ma dość duchów mocnych i poświęconych. Nie jest może już tak źle, jak za czasów Słowackiego, gdy ten wołał: „żeby też jedna pierś była zrobiona nie podług miary krawca, lecz Fidyasza"! Ale zadużo jeszcze takich, co nie mają dość „serca i mocy, hańbę zwać hańbą, a nędzę zwać nędzą", co „biegając w palącym się gmachu, z wygryzionemi od dymu oczyma, w kąt się chowają z nędznego przestrachu, zamiast wyjść krokiem olbrzyma". Gdyby „miliony tych, którzy płaczą i życia klną brzemię", wytężyli swe siły, ujrzeliby, iż przyszłość „czeka na pożądanie gorące człowieka, by strząsnąć pióra — i wzlecieć nad ziemię".

Usiłowania wydziedziczonych ku zrzuceniu z siebie jarzma, usiłowania zbiorowe i brzemienne czynami od pierwszej już chwili twórczości Konopnickiej, — nie pochłonęły jej uwagi. Poeta nie wierzy, żeby wszystko, co go otacza, było rzeczywistością. Ufa on zresztą tylko tej wnętrznej rzeczywistości, na którą patrzą oczy jego, w głąb duszy zwrócone. Konopnicka należy bezspornie do szczytnego gatunku *vates*, gatunku, którego narodowe męki porozbiorowe wydały kilku olbrzymich przedstawicieli. W poezyach jej wola, wysiłek odgrywają zadziwiająco małą rolę. Powiedziałbym nawet, że nigdy żaden prawdziwy poeta nie miał u nas tej łatwości tworzenia, co Konopnicka. Odrobina skupienia budzi w niej czarującą, nie wyuczoną, a przecież pysznie sharmonizowaną muzykę słów, „perła po perle ton lejącą w ucho". W jednem z takich niedawnych zadumań (Prawda № 16, 1902 r.) „jakaś wielka, mglista karta, w tajemnicze runy ryta", wskroś otwarła się przed poetką i dusza jej „w gwiazdach czyta" płomieniste przepowiednie, oznajmiane w kassandrowym dreszczu, do którego nie przyzwyczaili nas poeci dzisiejsi:

Ziemio! Ty będziesz tak myślami bita
    Jak burzliwym oceanem,
Aż w polu, zorzą owianem,
    Ostatni kłos twego żyta
W chleb się braterstwa przemieni,
    Pełen promieni,
Który przełamią ze sobą — przez lądy i wody —
    Świata narody"!

Widzi potem, że ta ziemia będzie podminowana prochami, co leżą w niej jak podścielisko wulkanu,

Aż kiedy wyzwoli się cały zaczyn ziemi,
Buchnie jak krater rozpiorunowany
        Na ćwierci...

I skroś pyłu i kurzawy,
Skroś dymów i ognia bicia,
Z pośród gorejącej lawy,
Dobędzie się zawierucha
Nowego życia,
Nowego ducha!

(D. c. n.).



LEON CHOROMANSKI.

Z powodu „Oziminy“ Berenta.

(Dokończenie).

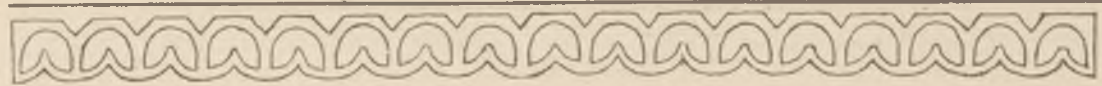
Ileż lirycznego samozadowolenia dawać musi autorowi jego język tak odrębny i swoisty. Wyobrażam sobie, że jeśli z głowy Berenta wyłoni się zdanie proste— lub szereg zdań autor otrząsa je z siebie z niechęcią i obrzydzeniem. Niema u Berenta zdań pogodnych, ufnych. barwnych pachnących. Zaledwie zamajaczyło w jego pracowni zdanie pogodne, z piętnem pewnej ufności i spokoju--autor rzuca się na nie z pasją człowieka dręczonego świerzbą wewnętrzną, zaczyna je wyginać, gmatwać. Znęca się nad niem równie mocno jak nad duszami swych bohaterów, czyni je cierpkiem, gryzącem. Rosa kwiatów stylowych Berenta jest tak ciężka i lepka, że przypomina klajster Niektóre zdania pachną zbutwiałością, sarkofagiem, trupem faraona z bardzo dostojnej dynastji. Siła tego stylu tkwi w tem, że niema w nim zdań idących luzem: wszystkie pełnią swą powinność. Niema zdań nieprzepojonych w najmniejszym choćby odłamku właściwym narkotykiem Niema zdań *bezuczuciowych*.

. . . .

Kamieniem obrazy dla wielu było wprowadzenie do „Oziminy“ pułkownika rosyjskiego i jego stosunek względem towarzystwa polskiego. Pułkownik jest jedną z najżywszych postaci w powieści. Jedyna to postać, która ożywia Ninę i autora—aż do przebłysków raźniejszego humoru. Znaczy to tyle: dla Berenta postać, zachowująca krzepkość dzięki swej budowie prostolinijnej i temu, że przebywa w atmosferze niemal fizjologicznej prostoty życia, jest pociągającą, jako coś osobiście bezpowrotnie stracone. Jest to jego tęsknota do powrotu na łono natury—uczucie, które nawiedza i dręczy niekiedy samotników przerafinowanych. Zrozumiałą wobec tego się staje gorączkowa ciekawość autora wobec każdego ruchu pułkownika i owo zadowolenie jakie jego uchu sprawia krótkie „zberknięcie“ jego ostróg.

. . . .

Znaczy to również; że my, polacy, (studjowani w salonie pp. Niemanów!) nie umiemy patrzeć w siebie, widzieć swych błędów. Trzeba dopiero obcego oka i cudzej otwartości, abyśmy ujrzeli swą szkaradę w całej nagości. Wogóle w „Oziminie“ jest dużo niepotrzebnego okrucieństwa. To niepotrzebne, bezpodstawne okrucieństwo — zamiłowanie do znęcania się i rzeczy przykrych - jest i w Berencie i w wielu innych autorach—wypływem naszej swojskiej choroby. Chorujemy nie tylko na niedomagania europejskie, lecz i na niedolę rodzimego kraju. Niezadowolenie stąd chroniczne przybiera w literaturze kształty niedowierzania względem każdej



radości—jako rzeczy nie na czasie—postać cierpkich oskarżeń i wybuchów nagromadzonego gorzkiego liryzmu. Jesteśmy lirykami, jak wszyscy, którym wiatr w oczy wieje.

. . . .

Lecz liryzm przysłania oczy: wiedzie do oskarżeń gremialnych, do wyobrażeń podniosłych, lecz nie rzeczywistych. Charakterystyczną jest przytem rzeczą, że liryk usuwa siebie z zakresu potępienia. Wyjątkowość uczucia wyzwala go od wspólnoty zdechlaków, półgłówków, zgnuśniałych, obojętnych. Wydaje się w końcu, że całe to tło ciemne służy jakoby do uwydatnienia jedynej świetlanej postaci—samego liryka. I tak jest w istocie: liryk z rozbicia świata chce wynieść siebie i autonomję swych uczuć Zapytać go można: Czy pan na serjo przypuszcza, że wśród tych chwastów bylejakich, jakie wyrastają na naszym gruncie, pan jeden jesteś kwiatem pięknym i oburzonym? A jeżeli nie jesteś pan *jedynym*, to już tylko krok do tego, aby przyznać, że w epoce każdej wyższe cnoty ludzkości—dostojność narodu—tkwią w części niewielkiej—wybranej. Reszta to statyści, których rola — między innemi — budzić obawę, że Europie grozi przeludnienie. Dopiero w chwilach wielkich przesileń i w statystach budzi się „iskra boża".

. . . .

Wyobraźmy sobie wielkiego liryka, żyjącego w czasach szarych i cichych. Będzie on nieustannie zwracał zwrok ku epoce burz, kiedy w rzeszach świeci „iskra boża", i oskarżał ludzi swej epoki o skarlenie. W niecierpliwem oczekiwaniu wybuchów wulkanicznych, które swemi grzmiącemi kaskadami między innemi, sprawiają mu osobistą przyjemność, będzie on ślepy na to, że każda epoka zmierza ku wyzwoleniu ludzkości od zła tego lub innego, że ciągłość duchowych wysileń trwa, choć nie zawsze dane jest nam widzieć końcowy fajerwerk oślepiający (zdobywanych harmat). Pisarz-liryk Fogazzaro, tęskniąc do bohaterskiej epoki wyzwalania się Włoch współczesnych, z melancholją spogląda na włoskie pokolenie dzisiejsze—jakoby skarlałe. Dlaczegoby jednak włosi, rozwijający się od 50 lat normalniej mieli skarleć? Oto typowy przykład liryka, ponoszonego przez liryzm, równie jak autor „Oziminy".

A kto się da ponieść temu rumakowi, ten zamiast „zbadania" i przeniknienia pewnej zawikłanej sprawy nie tylko osobistej, lecz i społecznej, zazna jedynie cierpkiej rozkoszy jazdy karkołomnej w nieprzewidzianym kierunku.

Polak zajmuje mało zaszczytne miejsce w literaturze dwuch narodów, które się nami „interesują": rosjan i niemców. Naogół rzec można, że miejsce to odpowiada tym planom, jakie co do nas mają politycy wspomnianych narodów. W Prusach np. polak przedstawiany jest w literaturze jako istota naogół dość nikczemna, którą należy uszlachetnić przez wynarodowienie. Znaną jest zaciekłość, z jaką wielki znawca dusz—Dostojewski nas pomniejszał. Mnóstwo innych pisarzów, nie wyłączając znakomitych (Puszkin, Lermontow, Turgenjew, Czechow, Gorkij) traktują nas z jadowitą niechęcią. Charakterystyczną jest rzeczą, że nawet pisarz trzymający się zdala od polityki — staje się politykiem, gdy się natknie na cudzoziemca. Budzą się natychmiast odwieczne sympatje lub antypatje międzynarodowe. Przedstawiciel obcej narodowości staje się jakoby uosobieniem, skrótem całego narodu, jego wad i zalet. I nieraz rozgrywa się scena godna politowania: wielki znawca dusz staje się małym oszczercą politycznym. Opada z niego cała mądrość i cała sprawiedliwość. Rzucając się w paroksyzmie ciemnej wściekłości, miota oskarżenia jakoby z mózgu nagle zdziecinniałego.

W porównaniu z „patrjotycznymi" pisarzami pruskimi i rosyjskimi okazał się Berent artystą, którego wtargnięcie cudzoziemca nie wytrąca z równowagi. Prze

ciwnie, uznał w nim godną zazdrości—krzepkość. Pod tym względem Berent, jako poszukiwacz, szczęśliwszy jest od rodowitych rosjan. Ci bowiem dotąd napróżno starają się znaleść duchowo—krzepki typ rodowity. Już Goszczarow, pisząc Obłomowa sięgnął po krzepkość do niemców. Dziś literatura rosyjska pełna jest narzekania na apatję, brak celu i podstaw w życiu, a Mereżkowski utrzymuje wprost, że cała Rosja dzisiejsza jest chora (Balnaja Rossija).

. . . .

Nie znaczy to jednak wcale, aby Berent całkiem nie miał słuszności. Stan kultury polskiej nie jest pomyślny. Położenie polityczne, zatamowana oświata - oto dwa warunki wysoce nieszczęśliwe. Trzeci to rozwielmożnienie się w sferach inteligencji typu barwistego, przerzutliwego, wymownego, pełnego dobrych chęci, lecz którego przeznaczeniem jest jakoby rozlewać się w różnych kierunkach i jałowo ginąć. Brak karności i powagi wobec życia, które się przedstawia, jako coś niemające w sobie nic niebezpiecznego. Zdaje się, że oddawna w Polsce przeważał typ człowieka uczciwego, który w żaden sposób nie może uwierzyć w realność zła. Zło uważano u nas zawsze za coś w rodzaju nieporozumienia, a wroga za człowieka źle poinformowanego. Lecz wszędzie w dziejach, gdzie istniało szczerze określone zło i wiara w nie—istniało szczere i mocno strzeżone dobro. Tymczasem u nas dobro jest właściwie dobrotliwością. Gdzie wiara w zło—szatana—tam i świętość (Czy nie szatan świętych ponastwarzał?) W dawnych wiekach następowały co pewien czas żywiołowe wybuchy wiary w zło—w postaci prześladowania czarownic, żydów, arystokracji (wielka rewolucja francuska). U nas tych ruchów żywiołowych było nadzwyczaj mało. A jednak wiara w zło, jako czynnik wychowawczy, ma wartość wysoką, stwarza bowiem nieustanną czujność i ciągłość usposobienia do walki. Uważać zło za wyjątek, anomalję, zjawisko tymczasowe, oto co jest właściwe naturze polskiej. Stąd płynie zła orjentacja w rzeczywistości i uciekanie przed nią w dziedzinę zawieszenia między niebem a ziemią. W literaturze wyraża się to w niechęci do człowieka stworzonego i w poszukiwaniu człowieka takiego, jakim być powinien. Namiętność traktuje się jako coś anormalnego i zdrożnego, co na końcu książki ponieść powinno karę zasłużoną. Ta niechęć do przyrody i jej „zła“ sprawia, że zdobycze psychologiczne literatury polskiej są dotąd nieznaczne i rzadko który talent odznacza się zapałem w tym właśnie kierunku

---



MIECZYSŁAW STERLING.

Nowa książka Jana Lorentowicza.

(„Nowa Francya Literacka“ — Portrety i wrażenia. — Warszawa 1911).

Z nad szarego życia redakcyjnej nudy i obowiązkowych „natchnień“ rzadko kto zdoła się wznieść wyżej, tak wysoko, aby z zachwytem w oczach spojrzeć w głąb lazurów i w bogactwo duszy ludzkiej.

Rychło przygniecie go osypujący się powoli kurz i takim popiołem spalonych wzlotów przepoi, że chyba bagno błotniste wytworzy tam, skąd ongi białe gołębie w niebo wzlatywać miały... Bo dziennik z jego aktualnością—to śmierć dla



artysty, a redakcye dzienników, których dewizą pogarda dla szczerości—to pierwszy szczebel do zaniku uczuć. Kto bowiem raz przeniknął szalbierstwa kapłańskich sztuczek, ten w bogi już nie uwierzy..

I ten tylko owej zarazie redakcyjnej ostać się może, kto siłą idei własnej na grzązkich fundamentach dziennika choćby najdrobniejszą, lecz nietykalną arkę dla swojej sztuki wybudować zdoła.

Zdołał to uczynić — Lorentowicz

W dzienniku pracując, stworzył w nim odłam artystyczny — dodatek, który przez długi czas był u nas jedynym tygodnikiem, wyłącznie sztuce poświęconym. Z dodatku tego uczyniwszy sobie jakby jakąś „przegrodę" od dziennikarstwa, ratował Lorentowicz i wzbogacał kulturę zdobytą, ratował uczucie i już po kilkoletniej pracy, po za innemi wyjątkowo cennemi utworami, dał nam długi szereg studyów o współczesnych prozaikach francuzkich, szereg portretów, których wartość podnieść tu pragnę.

. . . .

Portret literacki—to synteza. Treścią jego—całokształt myślowy i uczuciowy pisarza, barwami—poszczególne myśli i uczucia Różni się od *essaye'u* objektywnością względną i możliwie wszechstronnem oświetleniem portretowanej postaci. Gdy *essaye* daje tylko bezpośrednie wrażenie artysty-krytyka, widzącego w dziele jedynie te wartości, na które *jego* jaźń reaguje — portret ocenia wszystkie cechy twórczości, nie stosując metody bezwzględnie subjektywnej.

Subjektywizm autora portretu wypowiada się wprawdzie już przez sam wybór portretowanych pisarzy i silniej uplastycznionych fragmentów, które zespala w jedność dla wytworzenia całokształtu, wszelka jednak myślowa i uczuciowa reakcja artysty-krytyka bywa tu jakby przemilczana, aby w wyniku—dać portret.

Określenie to zdaje się być zgodne z założeniem Lorentowicza:

„Książka niniejsza" powiada autor, „nie jest próbą wyjaśnienia tej lub owej twórczości... Chodzi nam o szereg procesów tworzenia się, krystalizowania, wreszcie rozpraszania niektórych indywidualności.. Miarą wartości portretu będzie pochwycenie i dokładne uwypuklenie głównych znamion indywidualności".

I za przewodnią myślą idąc, nie zagłębiając się ani w analizę naukowo-estetyczną, ani też w etyczną ocenę twórczości, szuka człowieka-twórcy, szuka indywidualności i tego, co jej odrębność stanowi, stara się w każdej postaci odnaleźć pierwiastek *nowy* i wykazać to indywidualne, własne, jedyne, co ją typem czyni. By dać więc szereg fizjonomii wybitnie odrębnych, w każdej z nich uplastycznia on jakiś specyficzny rys, który podnosi do znaczenia dominującego.

Podkreśla rewolucyjność Leona Bloya, jego wiarę w moc cierpienia i nędzy, wiodących aż na wyżyny mistycyzmu, lub powagę i dobrotliwy uśmiech Elemira Bourges'a: „Oto" opowiada „widzimy po nad działającemi osobami pochyloną smutnie, jakby widmową postać. Ma spokojną, pobłażliwą i dobrą twarz, patrzy melancholijnie, niekiedy uśmiechnie się dobrotliwie i—zgarnia do swego serca ból wszechświatowy, cicho, dyskretnie, poważnie. To Elemir Bourges".—I w tym drobnym rysunku wyjaśnia nam postać.

W Huysmansie podnosi tę wielką, beaudelaire'owską nudę, wiodącą artystę po przez umęczenie zmysłów w progi kościelne, w jakieś omamienie pseudokatolickie.

W całej twórczości Mirbeau odczuwa zrącą ironię — gdy ironia Renarda jest spokojna i pogardliwa. Mirbeau nienawidzi ludzi, którzy go już w dziecięcych



latach chłostali biczem poniżeń—Renard ironizuje bez nienawiści, z pogardą, płynącą jednak nie z okrucieństwa, lecz z utajonego współczucia.

Kulturę dwuch typów odrębnych charakteryzuje także i gdzieindziej, więc np niepospolitą, zamkniętą w sobie, często nazbyt oschłą, erudycyę Remy de Gourmont'a i wytworną, na poły kobiecą miękość erudyty estety: Schwoba.

I w owem cechowaniu pierwiastków indywidualności, w owych śmiało i jędrnie rysowanych szkicach, umieszczonych we wstępie do każdego studyum, objawia się subjektywizm autora i jego istotna twórcza praca, gdyż tu wykazuje on swoją wrażliwość uczuciową i umiejętność syntetyzowania, tu *tworzy* on w dziele skończonem, jak artysta w surowym materyale.

Drugim przejawem subjektywizmu jest dobór postaci. „Nie zajmuje nas właśnie"—pisze Lorentowicz — „owo zgodne przyjmowanie twórcy, ale raczej dumna egzystencya w cieniu urzędowych wielkości. Uwzględniamy jedynie bezinteresowne wzruszenie pisarzy. Zatrzymujemy się tam, gdzie ginie poczucie własnej odrębności, albo następuje łatwe mistrzostwo na tle motywów, które się podobały".

I istotnie - niemal o tych tylko mówi Lorentowicz. którzy przekleństwem pogardy odżegnywali się od miłości burżuazyjnego czytelnika i raczej w pustelniczem zapomnieniu i niesławie gotowi byli umierać, niż schlebiać miernym gustom mieszczaństwa. I póty ich wartość podnosi, póki swojego „ja" za popularność nie sprzedają Gani tych, którzy jak Mirbeau, piszą w końcu utwory piękne dla ogółu, dla umysłów wytwornych jednak zbyt brutalne w wyrafinowaniu. Uwypukla zupełne uświadomienie owego arystokratyzmu, gdy mówi napr. iż Barres wszelką myśl głębszą okrywa mgłami, „aby przyćmić blask piękna, zbyt cennego dla tłumu".

I owo hołdowanie nędzarzom-arystokratom, którzy męczeńską drogę bezwzględnego artyzmu po nad salonową sławę dnia wynoszą, charakteryzuje samego autora, nadając jego własnej postaci rys myśli antyburżuazyjnej, żądającej niezależności i absolutnej szczerości w sztuce, tych dwuch atrybutów odradzania się i wiecznej młodości *).

. . . .

Książka Lorentowicza posiada po za wartością artystyczną duże znaczenie dla piśmiennictwa polskiego. Literatura krytyczna, poświęcona twórczości narodów obcych jest u nas tak biedna, iż z trudnością możemy wskazać na dzieła, omawiające utwory najgłośniejszych nawet pisarzy ubiegłego stulecia. Gdy każde niemal kulturalne społeczeństwo wzbogaca się stale w doskonałe wydawnictwa monograficzne, zasilane przez najlepsze umysły krytyczne, nasze wydawnictwa umierają w roku narodzin I śmiało rzec możemy, iż w dziedzinie krytyki nie wiele posiadamy książek, tak źródłowo, sumiennie i z taką niepospolitą dbałością o wytworną całość, opracowanych, jak „Nowa Francya Literacka" Jana Lorentowicza.

---

*) Tu wspomnę, iż, zda się, jedynym krytykiem, który za życia ks. Szandlerowskiego pisał o jego „Paraklecie"—był Lorentowicz. To niechaj będzie potwierdzeniem jego ideowego założenia, iż mówi o tych, którzy są „ukryci w cien u urzędowej krytyki".



PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAN.

BEZ KOMENTARZY.

(Zamiast krytyki)

Na kilkunastu małych kartkach tekstu—swojej, ilustrowanej własnym **portretem** – książeczki p. t. „**Erotyki**“ *)—pisze **Stanisław Birmy Dróbecki**:

Strona 5.—tekstu strona pierwsza—wiersz 8-y od dołu:

„O zbudź mnie, zbudź, boś ty moje marzenie;
o zbudź mnie, zbudź, boś ty jest życie moje;
przez ciebie spływa w mą duszę natchnienie,
nektarem dla mnie jest spojrzenie twoje.“

Strona 6.—wiersz 1-y od góry:

„O zbudź mnie, zbudź, bo rozpacz gra na duszy,“

Strona 10.—wiersz 1-y od góry:

„Pozwól mi marzyć i sobie spamiętaj,“

Strona 11.—wiersz 4-y od dołu:

„Już nie zabliźnię mego serca ranę,“

Strona 17.—wiersz 4-y od dołu:

„Ty gołębico dzika!
Ja dobre skrzydła mam!
Lecz kto się tak wymyka,
choć schwytam—wolność dam.

Ha, mam cię! Ale spojrzyj;
otwieram szpony sam;
stąd celu swego dojrzyj,
leć w szczęścia swego bram!“

Strona 22.—wiersz 1-y od góry:

„Gdybym ładny był dziewczyno,
gdybym ładny był,
Tobym ciągle śnił dziewczyno;
wciąż o tobie śnił.“

Strona 26.—wiersz 1-y od góry:

„Sam, tak sam zawsze, jak przy urodzeniu,
Sam byłeś w pierwszem serca uniesieniu,
Sam pośród walki, na niewiasty łonie,
I kiedyś będziesz samotny przy zgonie“.

Strona 27.—wiersz 4-y od dołu:

„Nic mnie nie bawi i nie obchodzi,
Choć się raduje starzec i dziecię,
A wszystko z tego tylko pochodzi,
Że mnie tak strasznie źle jest na świecie.“

Strona 28.—wiersz 1-y od góry:

„Macocha zima szarą dłonią kiwa,“

Strona 30.—wiersz 5-y od góry:

„Ja cię nie winię, że dziś mnie nie kochasz,
chociaż w przeszłości bardzoś mnie lubiła,
że moja dusza wciąż o tobie śniła
ja cię nie winię.“

---

*) Warszawa, 1912. — Nakład i druk Tow. Akcyjn. S. Orgelbranda S-ów — Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka (T. Hiż i A. Turkuł).

Strona 32.—wiersz 1-y od góry:

„Ja kocham ciebie, lecz Bóg raczy wiedzieć,
Czy to kochanie jest silne i trwałe,
Takie, co kruszy wszechprzeciwieństw skałę;
Czy o nim mówić, czy nic nie powiedzieć!

Bo może tylko, są to krwi zuchwałe
Jakieś porywy, której tam usiedzieć
Trudno w tem sercu ciasnem i nie wiedzieć
Zgoła, czego chcą te żyjątka małe?

A może to są kształtów twoich czary,
Dzwięk twego głosu, albo te kolory...
Lub wszystko razem: złudzenia, pozory?

Może to jakieś wyobraźni mary,
Lub wprost przyczyną kawał mózgu szary...
A może tylko—może... jestem chory?"

Strona 33.—wiersz 1-y od góry:

„Wódz ty mnie myśli po owych bezdrożach"

Strona 34.—wiersz 1-y od góry:

Minął rok—ty w ziemi śpisz
I o niczem już nie śnisz."

Strona 35.—wiersz 7-y od góry:

„A ona mu na to skrycie:
„Aleś już stary kochanie,
Aleś już stary;
Czas chyba pożegnać mary
Takie me zdanie.
Cóż po twem życiu—chcesz nieba?
Po co mi szepty przy uszku!
Za mój uśmieszek potrzeba
Zapłacić złotem staruszku...
Boś stary!"

Strona 37.—wiersz 1-y od dołu:

„Śnić będzie snać o szczęściu, gdy nawet zejdzie w grób."

Strona 43.—wiersz 3-ci od góry:

„Dziwne jest zaiste, że człowiek najprzód uczy się mówić, a potem dopiero—milczeć".

Strona 47.—tekstu strona ostatnia—wiersz 5-y od dołu:

„Ziemia—to jest taka wielka głowa, na której las to włosy, a ludzie to... baranki egipskie."

Druga karta tytułowa.—strona druga:

„**Tegoż autora wyszły:**

W języku polskim: PRZEZ MIŁOŚĆ, dramat 1902. (*Wyczerpane*) *).
BŁĘDNE KOŁO, dramat 1903. (*Wyczerpane*) *).
POEZYE I, 1903. (*Wyczerpane*) *).
SZKICE DRAMATYCZNE 1904. (*Wyczerpane*) *).
POEZYE II, 1904 *).
ŻYCIE, dramat 1904. (*Wyczerpane*) *).
ŚWIAT CHORYCH, dramat 1905 *).
SEN, dramat, 1908 (Wydanie trzecie) *).
UTWORY DRAMATYCZNE 1908 *).
NOWELKI, 1910 *).

W języku niemieckim: DER TRAUM MEINES LEBENS, dramat 1905 *).
GEDICHTE, 1905. (*Wyczerpane*) *).
GEDICHTE UND GEDANKENSPLITTER, 1907 *).

*) Adresu miasta, drukarni, lub księgarni, w których wydano i drukowano te dzieła — p. Birmy Dróbecki nie podaje wcale. *(Przyp. red. „Przeglądu Krytyki")*.

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Samson Szyldberg.—„*Pieśni samotności*"—Z okładką rysunku autora. — (Spis rzeczy: „W pożarze niebios"—„Jesień"—„Z białych pieśni"—„Śród hymnów narodzinnych")—Warszawa 1911.—Skład główny w „Księgarni Powszechnej", Marszałkowska 139—Stron 155.

Antoni Sikorski.—„*Komik*"—(„U celu"—„Komik" — „U stóp królowej zbłąkanych"—„Głód"—„Nędzarze"—„W zwątpieniu" — „Nie-Błękitna" — „Jego listy" — „Urywki ze znalezionego rękopisu").—Warszawa 1911.-Nakładem „Księgarni Popularnej", Śto Krzyska 42.—Stron 148.

Antoni Kudasiewicz.—„*Mój kalejdoskop*"—(Przedmowa—„Do matek"—„Do Polek"—„Zamiast wstępu"—„Mój kalejdoskop"). — Warszawa 1911 — Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki (T. Hiża i A. Turkuła), Krakowskie Przedmieście № 9.—Stron 237.

Erckman Chatrian.—„*Hugon Wilk*"—Powieść z 6-ciu ilustracyami. — Warszawa, Kwiecień 1911 - Miesięcznika „Ciekawe Powieści" № 16. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka. — Stron 150—Bezpłatny dodatek do № 15-go „Tygodnika Illustrowanego".

Ernest Łuniński.—„*Napoleon, jego życie i czyny w obrazach*"—(Legjony i Księstwo Warszawskie).—Ilustracje podług obrazów, portretów, rzeźb, rycin, pamiątek i t. p. Zeszyt III.—Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.—Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki Stron 40—Cena: 1 rb.

„*Sfinks*". — Miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy pod redakcją Władysława Bukowińskiego—Zeszyt 38. (K. Bereżyński: „Filozofja Cypryjana Norwida" — Savitri: „Księga milczenia" — W. Gostomski: „Problemat pracy polskiej" i inne)—Warszawa, Luty 1911.—Stron 160 Cena: 1 rb.—Zeszyt 39. — (F. Słupski: „Widzieć, to widzieć"—R. Radziwiłłowicz: „Pragmatyzm"—N. Miłkowska: „Leonardo da Vinci" i inne).—Warszawa, Marzec 1911—Stron 158—Cena: 1 rb.

„*Kwartalnik Muzyczny*" — Pismo poświęcone historyi, estetyce i teoryi muzyki.—Organ „Sekcji naukowej" przy Tow. Muzycznem w Warszawie.—Kierownik i wydawca H. Opieński—Rok I Zeszyt 1.—(Prace: St. Kętrzyńskiego, H. Opieńskiego, Ad. Chybińskiego, Żd. Jachimeckiego, M. Karłowicza, A. Simonówny, Ad. Gużewskiego. F. Szopskiego i J. Rosenzweiga—W dodatku: Wybór 14-tu tańców polskich z XVI go i XVII-go wieku w układzie na fortepian H. Opieńskiego). — Warszawa, Styczeń 1911—Stron 111+11—Cena: 1 rb. 50 kop.

„*Miesięcznik Literacki i Artystyczny*"—Pismo poświęcone literaturze i sztuce pod redakcyą: Dr. J. H. Retingera.—Rok I. Zeszyt 1. — Kraków, Styczeń 1911. — Skład główny na Król. Polskie i Ces. Rosyjskie: E. Wende i S-ka, Warszawa. Stron 87.—Cena: 1 rb.

„*IV Rocznik Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego*"—Warszawa 1910. — Nakład Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego—Stron 328 — Cena: 50 kop. — Dla członków P. T. K. cena: 20 kop.

„*Sprawy Miejskie*"—Pamiętnik „Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości M. Warszawy".—(Referaty, memoryały i wnioski A. Suligowskiego, E. Jankowskiego, dra J. Tchórznickiego, dra W. Kosmowskiego, J. Holewińskiego, B. Chomicza, A. Wasiutyńskiego, J. Lenartowicza, S. Szczeniowskiego, W. Dubeltowicza, W. Janowskiego, W. Kwiatkowskiego, K. Strumiłły i I. I Boguskiego),—Warszawa 1911.—Nakładem „Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości m. Warszawy". — Skład główny u Gebethnera i Wolffa.—Stron 417 — Cena: 3 rb. — Dla członków Stowarzyszenia: 1 rb.

Karol Forster.—„*Jak się zbogacić*" — (Franklin, jako przykład oszczędności — Sheriden, jako przykład marnotrawstwa). — „Biblioteczka społeczno-ekonomiczna" № 1.—Łódź-Warszawa 1911.—Skład główny w księgarni L. Fiszera.—Stron 48 — Cena: 15 kop





Trzy Strofy.

W gwieździstą noc
Usnęła dusza ma
W jeziora sennej głębi...

Usnęła tam,
Gdzie wodnej lilii kwiat
Do snu ją ukołysał
Bezbrzeżnym smutkiem swym,
Miłością i tęsknotą.

I powiał wiatr.
A niosąc brzaski dnia
Na ciche stawu oko,

Odleciał w dal,
Na pola kwietnych łąk,
Gdzie o kielichy kwiatów dzwoni
Zapachów mgłą
Dziewiczą

I oto wnet
Słonecznej chuci żar
Obudził śpiące kwiaty,
I z lotnej mgły
W pragnące serca ich
Miłości wlewał rosę..

I zahuczała pieśń
Przepiękna i wspaniała...

A każdy kwiat
Otwierał kielich swój
Rozkoszą żądz palony,
I słońca żar
Pochłaniał w siebie tak,
Jak gdyby w zmysłów był ekstazie
I umrzeć chciał
Z rozkoszy...

I oto znów
Od kwietnych łąk i pól
Wieczorny wiatr popłynął,

I w czarny las
Niósł śmierci chłód i pył
Spalonych słońcem kwiatów.

I powstał w lesie śmiech
Szyderczy i złowrogi..

I było tak,
Jak gdyby w lesie tym
Jęczały kwiatów dusze,

Jak gdyby wiatr
Niósł z sobą tylko śmierć,

Jak gdyby kłamstwem było życie,

Jak gdyby było snem
Uśpionej mojej duszy.

Józef Krobicki.

Wydawca: Józef Krobicki, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.